

Sztuka konsultacji środowiskowych

Nie chodzi oczywiście o taką sztukę gry pozorów, w której jedynie formalnie spełnione zostały obowiązujące w tym zakresie wymogi prawne. Być może już w tym momencie wkraczam na grunt dzisiejszych sporów politycznych. Chciałbym jednak swoją wypowiedź w tytułowej kwestii utrzymać – o ile to w ogóle jeszcze możliwe – bardziej w konwencji filozoficznej niż politycznej refleksji. Nie odżegnuję się oczywiście od pewnych sugestii czy aluzji. Co to jednak byłyby za filozoficzne rozważania, w których nie pojawiłoby się żadne à propos?

Tradycje czyli à propos

Tradycje akademickich konsultacji sięgają czasów starożytnych. Ich obecność można odnotować już w tej Akademii, którą założył w Atenach ok. 388 r. p.n.e. Platon. Filozof ten łączył zgłębianie tajemnic prawdy z dzieleniem się nią z innymi, a to, do czego doszedł w swoich rozmyślaniach, podziwiane było nie tylko przez jego uczniów, lecz także przez takich polityków, którzy – jak władca Syrakuz Dionizjos I – poszukiwali w platońskiej mądrości wsparcia dla swoich reformatorskich pomysłów. W tym celu zaprosił on Platona na swój dwór i – jak to niejednokrotnie bywa z ambitnymi władcami – nie tyle słuchał tego, co mu doradzał filozof, ile radził mu, aby wspierał jego obóz władzy. Skończyło się to tak, jak się niejednokrotnie kończy w takich sytuacjach, tj. Dionizjos I wzmocnił jeszcze swoją pozycję, natomiast jego nieskłonny do przyklaskiwania mu gość znalazł się w gronie przeznaczonych do sprzedaży niewolników (miał jednak spore szczęście, bowiem został wykupiony przez jednego ze swoich sympatyków). Być może brzmi to anegdotycznie, są to jednak fakty i to takie, które mogą stanowić jakieś ostrzeżenie dla filozofów, którzy chcieliby się znajdować (lub znajdując) bardzo blisko najwyższej władzy politycznej.

Pierwsze uniwersytety powstały oczywiście nie w okresie starożytnym, lecz w średniowieczu, i to powstały albo na bazie szkół kościelnych, albo przynajmniej pozostawały pod wyznaniem kuratelą władz kościelnych. Przekładało się to bezpośrednio na charakter i zakres prowadzonych w nich konsultacji społecznych. Stwierdzenie, że wszystkie istotne dla życia akademickiego kwestie musiały być konsultowane z tymi władzami jest jednak zbyt daleko idącym uproszczeniem. Niemal do powiedzenia mieli bowiem również sprawujący władzę z łaski bożej i szczęśliwego trafu urodzenia się we właściwym miejscu i właściwym czasie świeccy monarchowie i książęta. Niejednokrotnie konkurowali oni z władzami kościelnymi o „rządy dusz” oraz szukali wsparcia dla swoich planów w środowiskach akademickich i – co nie mniej istotne – znajdowali je. Świadczy o tym m.in. głośny spór cesarza Niemiec Henryka IV z papieżem Grzegorzem VII. Wprawdzie w 1077 r. papież doprowadził do upokorzenia cesarza pod Canossą, to jednak ostatecznie spór zakończył się wygraną w 1084 r. wspieranego powagą niemieckich biskupów i teologów Henryka IV.

Interesującego materiału do dyskusji na temat środowiskowych konsultacji oraz związanych z nimi relacji między wiarą, wiedzą i władzą oraz polityką i pragmatyką postępowania tych, którzy w każdym z tych obszarów mieli coś istotnego do powiedzenia, mogą dostarczyć te działania króla Anglii Henryka VIII, które sprawiły, że kościół w tym kraju stał się narodowy, a jego jedyne uniwersytety – Cambridge i Oxford – anglikańskie. W gronie konsultantów i doradców tego króla znajdował się m.in. wybitny filozof i polityk (członek Izby Lordów oraz kanclerz Anglii) Thomas More (Morus). Stosunki między Henrykiem VIII i More'em uległy drastycznemu pogorszeniu w momencie, gdy władca ten postanowił bez oglądania się

na papieską zgodę rozwiązać swoje małżeństwo oraz uznać siebie za głowę Kościoła Anglii. More nie tylko uznał te działania za nielegalne, ale również występował przeciwko nim publicznie. Został za to najpierw uwięziony w Tower, a później skazany na śmierć. Przed wykonaniem wyroku miał powiedzieć: „Umieram jako dobry sługa króla, ale przede wszystkim sługa Boga”. I zapewne tak faktycznie myślał. Jego życiowy dramat brał się jednak stąd, że tak nie myślał król, któremu z takim oddaniem wcześniej służył.

Interesującym przyczynkiem do dyskusji na temat relacji między władzą, filozofią i filozofami może być również przypadek Voltaire'a oraz króla Prus Fryderyka II Wielkiego. Monarcha ten nie tylko uważał się za wielkiego władcę, lecz także za wielkiego filozofa i chciał rozmawiać jedynie z tymi filozofami, których uznał za wielkich, i którzy – podobnie jak on – mówili po francusku. Tłumaczy to w jakiejś mierze pojawienie się na jego dworze m.in. Voltaire'a, filozofa, który – co tu dużo mówić – również był przekonany o swojej wielkości. Przy spotkaniu się tych dwóch osobowości idylla nie mogła trwać długo i nie trwała. Niemal za cud można uznać fakt, że przetrwała cztery lata. Zakończyła się w 1754 r. dramatycznym pożegnaniem – jeśli tak można nazwać ratowanie się Voltaire'a ucieczką przed więzieniem. Stwierdzenie, że obaj byli niezadowoleni z tej kooperacji, nie oddaje ani części ich wzajemnego rozczarowania. Nie zapisały się w pamięci potomnych żadne związane z tymi wydarzeniami filozoficzne kontestacje Fryderyka II Wielkiego. Zapisało się natomiast stwierdzenie Voltaire'a, że „najpierw wyciska się pomarańczę, a potem odrzuca skórkę”.

Współczesne praktyki

Jeśli wierzyć takim znawcom współczesnej kultury akademickiej jak A. Bloom, to jej dzisiaj jest w zasadzie tym, co pojawiło się stosunkowo niedawno, bowiem w XVIII i XIX stuleciu, a upowszechniło w następnych stuleciach. Wprawdzie nie z każdym jego przełożeniem tej ogólnej oceny na realia współczesnego życia akademickiego jestem skłonny się zgodzić, jednak samą generalizację uznaję w znacznej mierze za trafną. Nie będę się jednak odwoływał w szerszym zakresie do Umysłu zamkniętego tego autora. Powiem coś, co ucieszy raczej niewielu decydentów dzisiejszych praktyk konsultacyjnych: ich „dzisiaj” aż tak bardzo nie różni się od tego, co było wczoraj (lub nieco wcześniej), aby można było powiedzieć, że w żadnym momencie nie kojarzy się ono z wezwaniem tow. E. Gierka: „Pomożecie!”. Nie stawiam przy nim żadnego znaku zapytania, bowiem ani w tym, ani w wielu innych przypadkach zwracania się do społeczeństwa przedstawiciele jedynie słusznej siły politycznej raczej nie oczekiwano, że odpowiedzią może być jakieś „nie” lub „być może”.

Nie oznacza to oczywiście, że sprawujący władzę w wolnej Polsce w gruncie rzeczy niczego się nie nauczyli na błędach i wypaczeniach poprzedników. Zresztą jeśli nawet nie za bardzo chcieliby się czegoś nauczyć na tym, co doprowadziło do marginalizacji sił sprawujących władzę w PRL, to muszą się liczyć z takimi nowymi realiami życia społecznego, jak pojawienie się na scenie politycznej wielu konkurujących ze sobą sił politycznych oraz dużo odważniejsze, niż miało to miejsce w minionym okresie, artykułowanie oczekiwań obywateli, że w końcu zaczną być traktowani poważnie, tj. podmiotowo, a nie przedmiotowo. Od momentu wejścia Polski do UE trzeba się również liczyć z wymogami, które obowiązują w tej wspólnocie. Dotyczą one również konsultacji społecznych, traktowanych jako jeden ze wskaźników rozwoju demokracji oraz społeczeństwa obywatelskiego.

Rzecz jasna w praktyce różnie wyglądała i wygląda ta nauka. Stwierdzenie, że nikomu nie przychodziła i nie przychodzi ona łatwo, zdaje się być „oczywistą oczywistością”. Bez większego trudu bowiem można znaleźć przykłady potwierdzające, że w tych konsultacjach poja-

wiąją się skłonności do takich ułatwień, jak wyznaczanie tak krótkich terminów konsultacji, że nawet przy największej mobilizacji nie mogą one być ani szerokie, ani głębokie. Co gorsze, towarzyszą temu niejednokrotnie przekonania, że konsultacje te są w gruncie rzeczy stratą czasu, a w każdym razie nie mają większej siły sprawczej. Zdają się one być podzielane zarówno przez niektóre osoby odpowiadające za ich prowadzenie, jak i przez sporą część tych, do których są adresowane. Potwierdzeniem tego jest m.in. fakt, że z reguły uczestniczy w nich stosunkowo niewiele osób. Różne są tego przyczyny. Jednak twierdzenie, że wina leży po stronie obywateli, a nie władzy, nie usprawiedliwia ani jednych, ani drugich. Te filozoficzne rozważania będą zawieszane w próżni bez odwołania się przynajmniej do kilku konkretnych przykładów. Przywołam tutaj przykłady konsultacji, w których osobiście uczestniczyłem jako profesor uniwersytetu, a później również jako członek senatu swojej uczelni (jestem nim zresztą nadal).

Pierwszy z nich związany jest z projektami reform firmowanych w latach 1997-2000 przez ówczesnego ministra edukacji prof. M. Handkego. W żadnym wcześniejszym okresie (nawet w czasach szalejącej na początku lat 80. na wyższych uczelniach pospolitej demokracji) nie pojawiło się tylu uczestników dyskusji nad przedstawianymi przez ten resort (obejmujący wówczas również szkolnictwo wyższe) projektami reform. Rzecz jasna, różnie one przebiegały oraz różne przybierały formy (w tym takie, jak np. okupowanie gabinetu ministra przez władze związkowe). Wiele tutaj zależało od tego, co stanowiło ich przedmiot. Jedną z bardziej kontrowersyjnych wówczas kwestii było wprowadzenie gimnazjów, natomiast w szkolnictwie wyższym nowej ścieżki kariery naukowej. Batalia o te pierwsze zakończyła się wygraną ministra. Natomiast w drugiej może nie poniósł on całkowitej porażki, jednak z przedstawionych przez niego projektów ustaw o szkolnictwie wyższym oraz stopniach i tytule naukowym pozostała taka resztówka, że niewielu już dzisiaj pamięta o tym, że chodziło mu o coś znacznie więcej niż podwyżka uposażeń dla pracowników uczelni.

Z szeroko zakrojonymi projektami reform wystąpiła również kierująca Ministerstwem Nauki i Szkolnictwa Wyższego w latach 2007-2013 prof. B. Kudrycka. Jedne z nich wywoływały większe, inne mniejsze emocje w środowisku akademickim. Nie wchodząc w szczegóły można powiedzieć, że stosunkowo największe wywoływały te, które zwykle je wywołują, tj. kwestie kadrowe i finansowe. Jedne i drugie łączyła sprawa ścieżek kariery naukowej, w tym uzyskania pewnej stabilizacji zatrudnienia na uczelni. Obowiązujące w tym zakresie regulacje prawne uzależniały to m.in. od uzyskania habilitacji. Stąd zniesienie tego wymogu stało się jednym z gorętszych tematów w dyskusjach środowiskowych. Generalnie za utrzymaniem wymogu opowiadali się ci, którzy albo już przekroczyli ten próg selekcyjny, albo przynajmniej nie mieli poważniejszych obaw, że potrafią go przekroczyć. Natomiast przeciwko niemu zdecydowanie opowiadała się ta grupa związkowa, w której prym wiedli doktorzy. Tych pierwszych wspierały niejednokrotnie swoimi opiniami senaty dużych uczelni oraz publiczne wypowiedzi znaczących naukowo profesorów. Sprawilo to, że sejmowi decydenci wprawdzie zdecydowali się zmienić ustawowe wymagania związane z procedurą nadawania habilitacji, jednak sam wymóg jej uzyskania pozostał. Można oczywiście dyskutować, czy stanowiło to sukces, czy też porażkę pani minister i jej doradców.

Na zakończenie pełnienia przez prof. Kudrycką funkcji ministerialnej na stronie internetowej tego resortu znalazł się wykaz jej osiągnięć. Pojawiają się tam m.in. kwestie związane z rozwojem humanistyki oraz z funkcjonowaniem w nauce przedstawicieli dyscyplin humanistycznych. Osobiście byłem zaangażowany w dyskusjach na ten temat, a nawet rozmawiałem bezpośrednio (jako jeden z przedstawicieli Komitetu Nauk Filozoficznych) z panią minister. Przekonałem się wówczas, że wykazywała sporo tzw. dobrej woli, aby przeciwdziałać margi-

nalizacji tych dyscyplin na uczelniach. Niestety, sama dobra wola nie wystarczy. Nie chciałbym tutaj podejmować próby odpowiedzi na pytanie, czego jeszcze do tego potrzeba. Przywołam jednak biblijną mądrość: „jeśli sami sobie nie będziemy pomagać, to również Niebo nam nie pomoże” (rzecz jasna, jest ona adresowana nie tylko do społeczności akademickiej). Dodam jednak, iż taka dobra wola jest potrzebna, a nawet konieczna do prowadzenia możliwie szerokiej konsultacji – również z tymi, których wysiłki koncentrują się na mówieniu o „kryzysie humanistyki”.

Interesujące eksperymenty

a koniec tych rozważań zwrócę uwagę na dwa eksperymenty obecnych władz MNiSW. Pierwszy z nich związany jest z przygotowaniem do mającego się odbyć we wrześniu w Krakowie Narodowego Kongresu Nauki. Poprzedzony jest on cyklem comiesięcznych spotkań konsultacyjnych w różnych ośrodkach akademickich, z udziałem zarówno władz ministerialnych, jak i przedstawicieli różnych instytucji związanych z nauką oraz różnych dyscyplin naukowych (praktycznie każdy mający coś wspólnego z nauką może w nich wziąć udział). Uczestniczyłem tylko w jednym takim spotkaniu, tj. w konferencji zorganizowanej w listopadzie 2016 r. w Toruniu pn. Rozwój humanistyki: co i jak zmieniać w naukach społecznych i humanistycznych w Polsce? Moje spostrzeżenia nie oddają tego, co miało miejsce przy innych spotkaniach. Na kilka kwestii chciałbym jednak zwrócić uwagę. Pierwsza z nich wiąże się z charakterem wypowiedzi zaproszonych do dyskusji osób. W części otwartej toruńskiego spotkania dr J. Gowin w swoim wystąpieniu wprowadzającym zachęcał wprawdzie do zgłaszania odważnych i krytycznych uwag i ocen, jednak w praktyce pojawiły się one głównie w jednym wystąpieniu, tj. prof. P. Urbańczyka z Instytutu Etnologii i Archeologii PAN (chciałbym mu przy tej okazji wyrazić swoje uznanie).

Mającą miejsce zaraz po nim dyskusja panelowa na temat systemu grantowego w Polsce jedynie potwierdziła, że w tej kwestii powinni się wypowiadać przede wszystkim ci, którzy ani nie są etatowo związani z instytucjami rozdzielającymi granty, ani też nie są tak szczęśliwymi grantobiorcami, że nie wypada im o tym systemie mówić inaczej niż dobrze. Jestem przekonany, że nie byłem jedynym słuchaczem, który odbierał to jeśli nie z rozbawieniem, to co najmniej ze zdziwieniem. Jednak przynajmniej jedna informacja podana w tym panelu przez etatowego pracownika NCN powinna skłonić do głębszej refleksji. Wynika z niej, że generalnie o granty w tej instytucji ubiegają się nie doświadczeni profesorowie, lecz znajdujący się na dorobku młodzi pracownicy naukowci. Może by ktoś spróbował odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak się dzieje? Mam oczywiście w tej kwestii swoje zdanie. Jednak nie miejsce tutaj na jego przedstawienie i uzasadnienie.

Drugi z ministerialnych eksperymentów związany jest z przygotowaniem nowej ustawy o szkolnictwie wyższym. W pierwszym etapie działań ogłoszony został konkurs na wyłonienie trzech zespołów eksperckich, których zadaniem było „przygotowanie szczegółowych założeń do ustawy oraz przeprowadzenie wokół nich możliwie jak najszerszych konsultacji środowiskowych”. Zespoły zostały wyłonione – dla uproszczenia nazwę je: „warszawskim”, „krakowskim” i „poznańskim” – oraz przedstawiły swoje projekty. Pierwszą różnicą między nimi, widoczną już na pierwszy rzut oka, jest stopień uszczegółowienia ich projektów. Wprawdzie o żadnym z nich nie można powiedzieć, że zawiera same ogólności, to jednak lapidarność „warszawskiego” jest znaczna, a „krakowskiego” jeszcze znacznie większa (mieści się on zaledwie na kilku stronach). W odróżnieniu od nich projekt „poznański” jest bardzo szczegółowy (prezentowany na 180 stronach).

Różnicę widać nie tylko w stopniu szczegółowości projektów, lecz także w przyjętej przez ich autorów filozofii konsultacji. W projekcie „warszawskim” podany jest imienny wykaz konsultantów, zapowiadane są „spotkania zespołu interdyscyplinarnego z udziałem konsultantów” oraz „szerokie (min. 500 osób) konsultacje społeczne w środowisku akademickim”. Wprawdzie nie słyszałem, aby takie spotkania i konsultacje się odbyły, jednak nie oznacza to, że się nie odbywają, czy też nie będą odbywały. Może jedynie niepokoić brak szeroko dostępnej informacji, gdzie i kiedy się one odbywają oraz według jakiego klucza dobierane jest szerokie grono konsultantów. W projekcie „krakowskim” podana jest wprawdzie stosunkowo długa lista członków zespołu projektowego, ale trudno w nim znaleźć informacje, jak i z kim będzie on konsultowany.

Takich zapowiedzi nie znalazłem wprawdzie również w projekcie „poznańskim”, jednak jego autorzy zadbali o prowadzenie możliwie szerokich konsultacji środowiskowych. Służyć temu ma m.in. wydrukowanie go w nakładzie kilkuset egzemplarzy oraz rozesłanie ich do wielu instytucji i osób bezpośrednio lub pośrednio związanych ze szkolnictwem wyższym. Kierujący tym zespołem oraz niektórzy jego członkowie prezentują również swój projekt na spotkaniach z pracownikami różnych polskich uczelni. Najbardziej śmiałym, a jednocześnie ryzykownym ich krokiem jest przedstawienie go do dyskusji na facebooku. Stanowi to bowiem okazję do wypowiedzi nie tylko dla osób, które orientują się w realiach środowiska akademickiego oraz mają konstruktywne podejście do poprawy jego funkcjonowania, ale także dla tych, które albo słabo się w tym orientują (ale mają potrzebę zaznaczenia swojej obecności na tej internetowej platformie), albo też po prostu chciałyby dać upust swoim frustracjom. Zakładam jednak, że w momencie ważenia głosów „za” i „przeciw” różnym propozycjom zawartym w tym projekcie, wypowiedzi tych osób nie będą miały decydującego znaczenia.

Rzecz jasna, moje uwagi do tych trzech projektów mają charakter dyskusyjny, a na dostrzeżenie pozytywów ostatniego z nich pewien wpływ ma zapewne to, że znam kierownika zespołu „poznańskiego” i cenię jego profesjonalizm w podejściu do zleconych mu zadań. Dla uniknięcia nieporozumień dodam, że oceniam tutaj nie trafność zawartych w jego projekcie propozycji, lecz jedynie sztukę prowadzenia przez niego środowiskowych konsultacji.